



DODATEK LITERACKI

DO „DZIENNIKA WILEŃSKIEGO“.

Madonna Mickiewiczza.

W kościele parafjalnym miasteczka Dukszty, należącym do djecezji wileńskiej, a położonym nad samą granicą litewską, znajduje się niewielkich rozmiarów obraz olejny Najświętszej Panny, który, jak twierdzą Władysław Syrokomla i Konstanty hr. Tyszkiewicz, — był niegdyś własnością Adama Mickiewicza.

Wizerunek ten, pisze drugi z wymienionych autorów, był ulubionym obrazem poety. Po śmierci Mickiewicza, z licytacji kupiony przez pewną polską arystokratkę, do duksztańskiego kościoła za pośrednictwem poety Antoniego Edwarda Odyńca przesłany został.

Po zamknięciu kościoła w Duksztach w r. 1863, obraz Najśw. Panny przeniesiono do kościoła mejszagolskiego. W r. 1920 po przeprowadzeniu rewindykacji kościoła w Duksztach, „Madonna Mickiewiczza“ powróciła na swe dawne miejsce.

Podnoszenie wątpliwości na temat podstaw i wartości notatki Tyszkiewicza, jest niczem nie umotywowane. Autorytet Antoniego Edwarda Odyńca jest w tym wypadku dowodem zupełnie dostatecznym i przekonującym.

Zdaniem prof. Rutkowskiego, który obraz duksztański restaurował, jest to oryginał Sassoferraty (Giovanni Battista Salvi 1605—1685).

Obraz nie jest sygnowany, a więc przytoczonego orzeczenia nie możemy przyjąć jako pewnik, a tylko jako przypuszczenie, zresztą bardzo trafne ze względu na technikę i typ Madonny.

Kompozycyjny i ikonograficzny charakter wizerunku duksztańskiego wyjaśnia, — dlaczego był to ulubiony obraz Mickiewicza.

Madonna z Dukszt w swem zasadniczym ujęciu przypomina najzupełniej wizerunek Tej, która „w Ostrej świeci Bramie“.

Kanonik wendeński Daniel Łodziata w swych zapiskach z lat 1649 — 1669 dotyczą-

cych obrazu ostrobramskiego, w ten sposób scharakteryzował typ Madonny Ostrobramskiej: „Najświętsza Panna w postaci, jakgdyby stała przed obliczem posłańca Bożego, Archaniola Gabrjela...“

Kanonik Łodziata ujął rzecz bardzo trafnie: Jak „Mater Dolorosa“ należy do tego rodzaju przedstawień Boga-Rodzicy, których zaczątków należy szukać w większych kompozycjach malarskich, t. j. w „Ukrzyżowaniu“, — tak podobnie „Madonna Mickiewiczza“ oraz Madonna Ostrobramska pod względem układu, ruchu i wyrazu są właściwie fragmentami sceny Zwiastowania.

Kościół Bożego Ciała w Krakowie, dalej kościół OO. Kapucynów w Warszawie i jeden z parafjalnych kościołów w Łodzi posiadają najzupełniej zbliżone wizerunki Madonny bez Dzieciątka — Jezus, o twarzy pochylonej ku prawej stronie, z dłońmi skrzyżowanymi na piersiach.

Typ ten ustalił się w sztuce religijnej w połowie XVII w., a początków jego należy szukać na gruncie akademii rzymsko-bolońskiej.

Początek w tym kierunku dały przedstawienia Immaculatae Conceptionis.

Upowszechnienie się wizerunków Madonny bez Dziecka — Jezus przypada na drugą połowę XVII w.

Typ, który u nas reprezentują „Najświętsza Panna Ostrobramska“, „Madonna Mickiewiczza“ i obrazy z Łodzi oraz z kościołów OO. Kapucynów w Warszawie i Bożego Ciała w Krakowie wyrósł z tradycji szkoły Rafaela podjętych w Akademii Bolońskiej przez braci Carracci'ch, Quida Reni'ego i Domenichina, a w obrazach Sassoferrato i Carla Dolci'ego (1616—1686) znalazł swój skończony ostateczny wyraz.

Istnieje pewnego rodzaju wewnętrzna analogja pomiędzy legendą o św. Łukaszu, a opowieścią o Madonnie Dukszańskiej i Adamie Mickiewiczu. Świadczenie ostatnich lat życia poety związały z nazwiskiem wieszca obraz Madonny dobrego pędzla, ale pozbawiony wszelkich znamion wielkości, — a zapomnieli o jego istotnym nieskończeniu różnym wizerunku Madonny „odmalowanym mistycznymi a cudownymi barwami“ w utworze napisanym w noc Wszystkich Świętych 1842 roku, „kiedy Mickiewicza poraz ostatni nawiedziło natchnienie poetyczne“.

Utwór ten napisany prozą rytmiczną, „najpiękniejszą jaką język polski posiada“, noszący tytuł „Słowa Najświętszej Panny“, przypomniał społeczeństwu polskiemu dopiero profesor Józef Tretiak:

I.

„Pamięć ludu mojego obcisnęła serce moje
dwunastu taśmami płomienistemi i czułam zawsze
tkwiące w sercu dwanaście węzłów, zawiązanych
na pamiątkę ludu mojego.

II.

Żyłam Izraelem i w Izraelu cała, jako oblu-
bieńcem i w oblubieńcu.

III.

Przewiewały mnie na wskróś westchnienia
jego, lzy jego wszystkie ściekały w serce moje.
Pełna byłam bólów jego, ale nadziejami jego,
jako pierzem porastałam, nosiłam się po Izraelu
żądzaami jego, jako skrzydłami sięgałam niebios.

IV.

Odtąd przez pierś moją jak przez noc letnią,
pogodną, przechodziły łyskania, pierś moją oświe-
cały łyskania bardzo szerokie i ciche.

V.

Aż miłość moja zamieniła się w iskrę wido-
mą i duch mój cały otoczył ją i tylko w nią
patrzył.

VI.

I poczułam w łonie bijące dziecię, jak dru-
gie serce, a dawne serce moje utuliło się i ucichło.

VII.

I wypowiedziałam światu całą miłość moją
jednym słowem Pańskim, które stało się Ciałem,
odtąd żyłam w Synie moim i Synem moim.

VIII.

Ale przez pierś moją, jako przez dzień go-
rący, zaczęły przebijać się pioruny i serce moje
stało się pełne mocy, jako gromów rozpromienia-
nie się moje siecze ciemności złe, unoszona mił-
ością depczę zło, na dnie piekła roztlaczam je.

IX.

Otaczam ziemię dłońami mojami, jako nie-
bem błękitnem i w każdej chwili, na każdym
miejscu, każdemu dobremu duchowi zapalam się
i świecę gwiazdą ranną“.

„Wszystkie rysy i barwy dawniejszych Jej
obrazów, piórem poety kreślonych, znikają tu
zupełnie“ — wyjaśnia wymieniony historyk lite-
ratury polskiej.

„Nie widzimy tu ani złotowłosej i śnieżno-
liciej dziewicy, z symbolicznym gołąbkim u
góry, ani Matki Bolesnej, z mieczem w sercu,
mężnie, ale biernie znoszącej cierpienia, ani
Matki Litościwej, pocieszycielki, tulącej do łona
biednych i strapionych, ani Królowej łąk, pól
i lasów, wieńczonej od wdzięcznych rąk kwiatami,
ani wreszcie Królowej Polski i Litwy, z
Jasnej Góry i Ostrej Bramy nad swym narodem
roztaczającej opieki. Nie, nic z tego wszy-
stkiego niema w nowym obrazie, a jednak jest
to — mojem zdaniem — obraz wyższy od wszy-
stkich poprzednich, jeżeli nie swoją mistyczną
pięknością, to ideą w tę piękność obleczoneą.
Jest to cała historjozofja Wcielenia:

Był naród o dwunastu pokoleniach, prze-
znaczony na to, aby przechowywał czyste po-
jęcie o Bogu i przygotowywał dźwignięcie się
ludzkości z grzechu, zwycięstwo nad szatanem,
wszystkich żądź niższych sterownikiem. Naród
ten przechodził przez wielkie cierpienia, a im
więcej cierpiał i łez wylewał, tem głośniej jego
prorocy przepowiadali przyjsie Mesjasza—Zba-
wiciela.

Wśród tego narodu żyła dziewica, która
tak się przejęła bólami narodu, westchnieniami
i nadziejami jego proroków, że zabrakło w jej
sercu miejsca dla wszystkich innych uczuć i
stała się żywym uosobieniem misji narodu.
I wtedy mogła się dopełnić obietnica Pańska;
tylko dziewica, której całe serce po brzegi na-
pełniło się miłością dla idei Zbawienia, mogła
stać się matką Boga-Człowieka, zbawiającego
ludzkość. Cała Jej miłość dla ludzkości, cała
Jej żądza zbawienia i gorąca wola ku temu
celowi wyteżona, przeszła w ludzką naturę
Chrystusa, a gdy Syn walczył z ciemnościami,
Ona duchowo była przy nim. Zostawszy matką
Zbawiciela, stała się najwyższym wzorem, ide-
alnym typem matki bohaterów i kto chce być
rycerzem Zbawczej idei lub prostym żołnierzem
dobrej sprawy, niech ku Niej wznosi oczy i Ją
prosi o natchnienie lub pokrzepienie.

Z helleńskiego świata nie mogła się uro-
dzić zapowiedziana w słowach Stwórcy pogro-
micielka węża-kusiciela.

Do tego potrzeba było nie rozkosznej i
do rozkoszy zmysłowych wabiącej Hellady, ale
skalistej, jak ołtarz ku niebu wyniesionej Judei,
nie lubującego się w pięknych zmysłeniach
fantastycznych narodu, ale ludu wybranego,
czyste pojęcie o Bogu w duszach swoich pro-
roków przechowującego. Wśród takiej tylko
sfery, na takim tylko ołtarzu, mogła zakwitnąć
dziewica, zapatrzona w niebo, skapana w wi-
chrze głosów proroczych, czysta jak śnieg na
himalajskich szczytach.

Taka jest idea utworu. Wyskakuje ona w
górze ponad idee poprzednich obrazów, jak
szczyt wieży gotyckiej ponad niższe jej szczeble.
A teraz szata poetyczna tej idei. Dla dziewicy,
w ideę zbawienia zapatrzonej, a na którą z

niebios duch Boży schodzi, najodpowiedniejszą symboliką jest sfera powietrzna. To też mamy w tym hymnie cały szereg porównań i metafor ze sfery powietrznej, z jej blaskami i cieniami“.

W dziedzinie twórczości artystycznej „Słowa Najświętszej Panny“ są najwyższym wykwitem kultu Boga-Rodzicy w Polsce.

Kosmiczne zarysy wizerunku Marji w utworze Mickiewicza wielkością swą i głębią przewyższają wszystko, co sztuka stworzyła na cześć dziewiczej Matki Bożej i przywodzą na pamięć jedynie z Ducha Świętego poczęte słowa Ewangelisty Łukasza.

Mieczysław Skrudlik.

Na pięćdziesięciolecie zgonu Seweryna Goszczyńskiego.

Dnia 25 lutego upłynęło 50 lat od śmierci S. Goszczyńskiego. Rocznicą ta przeszła w Polsce cicho, prawie niepostrzeżenie. Zdaje się, że jedno tylko pismo, redagowane przez Z. Wasilewskiego, wielkiego miłośnika poety, *Mysł Narodowa* poświęciła jej więcej miejsca, zatrzymała na chwilę uwagę czytelników przy postaci „wieszczki kozackiego“. Zresztą tu i ówdzie drobnymi zaledwie wzmiankami dziennikarskimi załatwiono się z tą rocznicą. Pokryto ją milczeniem. Nie na wysokim widać poziomie stoi dzisiaj sława Goszczyńskiego.

Bywało przecież, że stała na wyższym, na podszczytowym. W literaturę polską wkroczył Goszczyński wprost triumfalnie. Jego *Zamek Kaniowski* w opinii młodego pokolenia romantycznego szedł o lepsze z *Konradem Wallenrodem*, M. Grabowski zestawiał go ze scenami *Fausta*. Podczas powstania listopadowego wysuwano z pewnych stron Goszczyńskiego—poetę na czoło literatury narodowej, nawet przed Mickiewicza. Sam Mickiewicz uhonorował go wzmianką w *Panu Tadeuszu*. Ale po r. 1831 Goszczyński, wprzęgnięty w pracę emisarjuszowską, później w towianizm, zaciął coraz bardziej jako poeta, zrzadka tylko przypominał się dziełami literackimi wykończonymi w wielkiej skali artyzmu, jak *Król zamczyska*, *Oda*, *Posłanie do Polski*. Punkt ciężkości życia przesunął się i jemu wyraźnie od poezji ku działalności społeczno-politycznej, później moralno-religijnej.

Tymczasem te właśnie późniejsze odgałęzienia zasługi Goszczyńskiego spoczywają dotąd w cieniu nietyle nawet zapomnienia, ile wprost niewiedzy. Nie zdobyła się jeszcze historia literatury i kultury polskiej na rozpatrzenie i należyłą ocenę całej jego twórczości; co więcej, ogromna ilość źródeł, mnóstwo materiału literackiego i pamiętnikarskiego, pozostawionego przezeń puścizną, zalega jeszcze szafy archiwalne. Goszczyński — współtwórca nowoczesnej myśli demokratycznej w Polsce, Goszczyński—towiańczyk czekający dotąd poprostu na odkrycie; ogół polski o nich prawie że nie wie, patrzy na niego jako na autora przebrzmiałych dziś poematów. *Zamku Kaniowskiego*, *Sobótki*... Ale nawet i o tej przebrzmiałości różnieby jeszcze można mówić; bodaj czy nie pośpieszyliśmy się zbyt w pobłażliwym bagatelizowaniu tych utworów, nie przyłożywszy do nich wprawdzie należytej miary historycznej. Z poza Polski aż dochodzą nas oto muszą sądy, stwierdzające wielki zasięg oroku, rozległą wolę poezji Goszczyńskiego wśród współczesności. W obszernem

studjum wykazał niedawno badacz czeski J. Menšík, jak wiele pierwiastków wchłonęła w siebie twórczość czeskiego romantyka-bajronisty K. H. Machy bezpośrednio z poezji Goszczyńskiego, właśnie ze wspomnianych dwóch utworów jego przedewszystkiem. Promieniowały one widać i poza granice polskiej mowy. Wychodzi to dziś dopiero na jaw.

Te i inne znaki zważając, można się nie martwić zbyt niepozornością ostatniej rocznicy, następna będzie głośniejsza, czas niedaleki, może, kiedy Polska odkryje Goszczyńskiego w pełni bogactwa, zadziwi się granitową mocą i wielkością tej duszy.

Do takiej zaś, jak terazniejsza, cichej rocznicy, czemuże właściwiej można się przyczynić, jak nie rozszerzeniem w drobnej choćby mierze znajomości oblicza poety, podniesieniem z łanu jego żniwa jednego chociażby z pozostawionych tam kłosów. Plon żniwa główny zebrał już Z. Wasilewski, sprawca najpełniejszego dotąd, czterotomowego wydania dzieł Goszczyńskiego; bogactwo urodzaju poetyckiego widoczne już tam w całej rozpiętości. Poza obrębem wydania zostało przecież jeszcze to i owo. Jeden drobiazg z tego pokłosia wolno tutaj wysunąć przed uwagę publiczną.

Wśród puścizny rękopiśmiennej S. Goszczyńskiego znajduje się następujący, drukiem dotąd nie ogłoszony wiersz albumowy:

* * *

*Sprzecznego losu pomrok nas ostania!
I kwiat uroczy dni wspólnych szczęśliwych
Już upowity całunkiem rozstania!*

*Niechże przynajmniej rosa wspomnień
żywych
Poigra z naszej przeszłości pieścidle,
By kiedyś znowu w wiosnie lepszej doli
Odbiła przeszłość farb swych malowidłem.*

*A gdy tu wszystko przemija niezbędnie,
Niechajże wędnie nieznacznie, powoli;
Razem z sercami naszymi niech zwiędnie.*

*

Osobliwe były koleje tego utworu. Powstał on w maju 1830 roku, w Leszczynówce na Ukrainie. Wpisał go poeta do albumu przyjaciela Jana Krechowieckiego, zegnając go i dom jego, gdy go opuszczał po dłuższym pobycie, by się udać do Warszawy. Ani mógł przypuszczać naonczas Goszczyński, że rozstając się z gościnnym domostwem, z ludźmi, z okoliczną przyrodą, zegna to wszystko na za-

wsze, że już nigdy później nie będzie mu dano choćby okiem rzucić na przenajdroższą Ukrainę, raz choćby odetchnąć jej powietrzem. Nie wiedział, jaką przyszłość przywitać mu przyjdzie, ale wiedział, co traci.

Okres życia, przepędzony w Leszczynówce u Krechowickiego poczytywać będzie poeta za najpiękniejszy fragment swej młodości. Ześciągany przez niedolę i przez czyhającego nań, wroga dostał się tam Goszczyński w przytulną, życziwą atmosferę domową, prawie rodzinną, tam znalazł wysoką rozkosz współżycia umysłowego, literackiej przyjaźni najściślejszej z młodym gospodarzem, ongiś kolegą szkolnym, teraz współtowarzyszem w ambicji poetyckiej, ale zarazem wielkim, szczerym wielbicielem talentu gościa. Tam też doznał on po raz pierwszy w życiu oszałamiającego wybuchu natchnienia, którego owocem poemat o *Zamku Kaniowskim*, napisany jednym niemal tchem, w ciągu kilku tygodni. Niezapomniany zaiste był to okres, jedyny taki w życiu Goszczyńskiego; droga owa przyjaźń, co go sprowadziła.

Wiersz powyższy jest dobrem spraw tych świadectwem, wyrósł z tej właśnie przyjaźni, jej elementami przesiąkł cały. Żeby swobodnie spowiadać się z wzajemnych entuzjasmów poetyckich, by mieć wolność marzenia i tworzenia w samotności, wyszukali sobie młodzi przyjaciele zaciszne ustronie w lesie, w cieniu upodobanej brzozy; niejedną przedyskutowali wieczór, niejedną przemarzyli noc. Na upominek wspólnej przyjaźni wili wianki z kwiecia polnego i wieszali je na szczycie umiłowanego drzewa. I wzgórek ów leśny, i brzozę, i te wianki opisał Goszczyński szczegółowo w wierszu *Wianek przyjaźni*; stamtąd też wyrozumieć i wyczuć możemy głębokie podbudowanie uczuciowe, wspierające całą tę romantyczną scenę. Otóż i ogłoszony powyżej wierszyk, jak drobny kwiatek poziomki, wyrósł z tego właśnie leśnego podłoża przyjaźni. Jest on, jak zanotował sam Krechowicki, „aluzją do wian-

ków z kwiatów polnych, zawieszanych na szczycie najwyższej w lesie brzozy, pod którąśmy nieraz nocowywali“.

Wiersz ocalał dziwnym trafem; że uniknął losu wielu innych utworów Goszczyńskiego z tej epoki, zatraconych w wichurze czasu, z wdzięcza to tejże, co go wywołała, przyjaźni. Album Krechowickiego zaginęło bowiem już w r. 1838, podczas przewożenia biblioteki do Kijowa. Trwalej jednak niż na papierze zapisany był wiersz w sereu przyjaciela, tam uniknął on zraty. Z pamięci spisał go Krechowicki na nowo i kiedy po latach wielu zeszedł się z sobą znów obaj dawni przyjaciele, we Lwowie 1872 r. ofiarował on z powrotem Goszczyńskiemu ów odpis, zaopatrując go w notatkę wyjaśniającą.

W taki więc sposób, kiedy poeta dochodził już powoli kresu życia, zaszła mu oto drogą młodzieńcza przyjaźń i podała w ręce dawny wianek uczuć—niezwiądnęty. „Tak życia koniec, szepece od początku: Nie stargam cię ja — nie! ja uwydatnię!“ Jakoż uwydatnił istotnie. Młodzieńczy promień miłości, odstrzeżony od serca przyjaciela, powrócił znów po lat dziesiątkach do swego źródła, nie zbladły, owszem tęnący zdwojoną świeżością i ciepłem. Wierszem tym, jak złotem ogniwem, powiązała przyjaźń dwa punkty życia poety: punkt dojścia z punktem wyjścia, koniec z początkiem. Uwydatniona została w przygodnym zdarzeniu jedna z istotnych cech psychiki Goszczyńskiego: niezłomna wierność i głębia uczuć, niezawodność serca.

Spełniło się pocięto jedno z marzeń młodzieńczej pieśni: „rosa wspomnień“ zaiskrzyła się znów świeżych „farb malowidłem“ na niezwiądnęty wianku przyjaźni. Stało się to jednak nie w spodziewanej „wiosnie lepszej doli“, ale w chłodnej, ponurej jesieni, — nie wiele co po Sedanie.

Stanisław Pigoń.

Walka z romantyzmem.

Niemal równocześnie z rozkwitem romantyzmu rozpoczęła się u nas w Polsce reakcja nań, zarówno w literaturze, jak i w życiu. Pierwszym zdecydowanym przeciwnikiem romantyzmu był Norwid i to jest niewątpliwie główną przyczyną jego nierozumienia i nieuznania. Dopiero jednak ostatnie lata w. XIX objawiły się jawną i otwartą walką z romantyzmem, a głównym jej szermierzem w literaturze stał się Stanisław Wyspiański. Ale i jego istotne intencje nie odrazu zostały zrozumiane, co było dlań tragedją, czego wyraz znajdujemy n. p. w *Wyzwoleniu*.

Wznowienie w *Reducie* dwu największych arcydzieł Wyspiańskiego oraz *Przeziębłości* Żeromskiego wywołało w ostatnich czasach w Wilnie tyle nieporozumień, zwłaszcza na tle stosunku autorów do romantyzmu, iż zachodzi potrzeba wyjaśnienia przynajmniej zasadniczych

intencji tych wielkich pisarzy. Chciałbym usunąć chociaż niektóre nieporozumienia.

Więc przedewszystkiem parę słów o symbolice *Wesela*.

Dwa zwłaszcza symbole zwracają naszą uwagę w tem dziele: *Chochół* i *Złoty Róg*. Napozór symbolizują one odwieczną romantyczną antynomję. *Chochół* — to rzeczywistość, szare, codzienne życie, zaś *Złoty Róg* — to marzenie, tęsknota za czemś nadzwyczajnym, niezwykłym, niecodziennym a pożądanym. Oczywiście. A jednak stosunek Wyspiańskiego do tych symbolów jest odmienny, a nawet wręcz przeciwny, niż zwykłe ustosunkowanie się romantyka, chociażby to, które możemy oglądać w świeżo wydanym pięknym tryptyku Wandy Niedziałkowskiej-Dobaczewskiej p. t.: *Wilno*. Dla Wyspiańskiego *Chochół* to (prawda) — brudny, szary śmieć, połuba słomiana, zrudziła na

deszczu i na wicherze, to życie nasze codzienne, tak bardzo niepoetyczne i szare, — a jednak Chochoł we wnętrzu swoim ukrywa wonny i wieszenie żywy krzak różany, który właściwie stanowi całą wartość pozytywną symbolu.

Symbol ten jużesmy przecież spotykali w naszej literaturze. Mówi już o nim Wysocki w *Salonie Warszawskim*:

...Nasz naród jak lawa:
Z wierzchu twarda i brudna, sucha
[i plugawa,
Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie
[wyziębi.
Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do
[głębi.

Tę myśl Mickiewicza powtarza również Słowacki gdy mówi o polskiej „duszy anielskiej“, więzionej „w czerepie rubasznym“.

Otóż to jest istotna myśl Wyspiańskiego, zamknięta w postaci Chochoła. A teraz Złoty Róg. Jest on antytezą Chochoła. Złoty Róg dostaje w ręce marzyciel, pojmujący Polskę w kategoriach romantycznych, wiecznie marzący o Wernyhorach i innych zwidach z baśni, — słowem gospodarz, figura groteskowa, którą autor traktuje z dobrotliwą pobłażliwością. Z rąk Gospodarza Złoty Róg dostaje się do rąk Jaśka-družby, co ma wyrażać kwietystyczną rezygnację szlachty na rzecz chłopca, który już wszystko za nas odrobi („Bądź taki, jacy myśmy byli, cha — cha, wyucz się naszych wad!“). Toteż Róg Złoty kojarzy się odrazu (z psychologiczną koniecznością) z nowym symbolem: czapki z pawiami piórami. Co znaczy ta czapka — tego chyba tłumaczyć nie potrzeba: toć to odwieczna pycha polska, blichtr i próżność.

Tak tedy Złoty Róg — to symbol romantycznego wyczekiwania, zaniedbania codziennego obowiązku i rzeczywistości, symbol spodziewań nadzwyczajnych z odwróceniem się od życia i jego surowej, lecz jedynie twórczej logiki. Złoty Róg — toć to symbol niemal identyczny z Harfą Wenedów i stosunek autora do niego jest bezwzględnie taki sam, jak stosunek Słowackiego do Harfy, t. zn. negatywny.

Nie zgadza się to z konwenansem romantycznym i dla tego przedziwnym triumfem ironji twórczej autora jest, jak słusznie zaznaczył Zrębrowicz (w przypisach do *Promethidiona Norwida*), że ów negatywny symbol Wyspiańskiego podchwyciła całkiem poważnie romantyczka Konopnicka w znanym banalnym refrenie:

„Pójdziem, gdy zabrzmi Złoty Róg...“

Tedy myśl *Wesela* dałaby się króciutko streścić w ten sposób: oto trzeba się odwrócić od majaków i romantycznych spodziewań cudu, nie trzeba marzyć o Złoty Róg Rogach, zato czas już najwyższy wziąć życie polskie w swoje ręce, przepromienić je twórczą, czynną miłością, stać się „odpowiedzialnym za wszystkich swoich przodków w rodzinie duchowej i doczesnej“ i dokonać tego czynu, którego co rok dokonywa przyroda (Kora z *Nocy Listopadowej*), czynu wydobycia krzewu różanego z obsłonek szarej i codziennej rzeczywistości. Rzeczywistość ta jednak, owa słoma, nie powinna być przedmiotem pogardy ani lekceważenia, gdyż w jej łonie dojrzewa powoli ów cud odrodzeń („Sam twój ta-

tuś na mnie wdział, bo się bał... jak jesienny wicher dał, zaśbym zwiądł, róży krzaki!“).

Myśl *Wesela* rozwija dalej autor w *Wyzwoleniu*. Wypowiada tu walkę utartym szablonom myśli polskiej, będącym produktem niewoli, pomiędzy innymi mesjanizmowi, przynajmniej jego postaci najbardziej znanej: z *Przedświtu* i *Książki Mickiewiczowskiej*.

„Naco mamy być Chrystusem narodów, wyłącznie na mękę i krzyż i dla cudzego zysku?... Naród ma jedynie prawo być, jako państwo... Chcę tego, co jest wszędzie!“

Jeśli myśli tego rodzaju dojrzewały w Wyspiańskim powoli, to zdaje mi się, że najważniejszym bodźcem do uświadomienia ich w sobie stały się *Myśli nowoczesnego Polaka* Romana Dmowskiego, które zaczęły się ukazywać (1902) na rok przed *Wyzwoleniem*.

A teraz przejdźmy do Żeromskiego *Przepióreczki*. Żeromski w głównym zrębie swej twórczości był w przeciwieństwie do Wyspiańskiego Romantykem. Jednak i jego najwyższą zasługą obywatelską jest zwrot, dokonany w ciągu kilku ostatnich lat przed śmiercią, a wyraźnie zrywający z romantyzmem i jego przewrotnymi konsekwencjami w życiu. Jeśli weźmiemy n. p. *Różę* z jej apoteozą marzycielstwa i z pogardą dla pracy organicznej Benedykta, to lata ostatnie Żeromskiego są wręcz zaprzeczeniem ideologii *Róży*. Ostre przeciwstawienie się Piłsudskiemu, który może dziś być uważany za najdokładniejsze wcielenie romantyzmu i irrealizmu, niechęć dla ideologii Legjonów i N. K. N., baczne zwrócenie uwagi na kresy zachodnie przedewszystkiem (pamiętny objazd nieszczęśliwych terenów plebiscytowych wraz z Kasprowiczem i Władysławem Kozickim) dalej *Wiatr od morza*, oraz cała publicystyka Żeromskiego tak żywa w ostatnich czasach, wreszcie postać Gajowca w *Przedwiośniu*, a przede wszystkim i zwłaszcza *Przepióreczka* — świadczą najdowodniej, że w Żeromskim dokonała się twórcza i nader pożądana ewolucja, polegająca na przewyciężeniu romantyzmu, oraz na wejściu na drogę żywotności i ideologii pracy, głoszonej przez największych naszych twórców, że wspomnę Norwida i jego ucznia, Brzozowskiego.

Ideologia ta najdobitniej wyraziła się w *Przepióreczce* właśnie.

Naczelna postać — Przełęcki, wypowiada całkowicie pogląd samego Żeromskiego. Krytyka literacka w szeregu głosów kompetentnych wytłumaczyła myśl autora, jednak i tu nie brakło nieporozumień. Niektórzy krytycy (Rabski, Lorentowicz, Jankowski, Płomieński) zamiast rzecz brać prosto i wyjaśnić istotne intencje, starali się czytać pomiędzy wierszami i zgola opacznie rzecz całą wytłumaczyli. Tymczasem sprawa jest nader prosta, acz trzeba przyznać, iż zrozumieć ją można jedynie, pamiętając o zaznaczonej powyżej ewolucji Żeromskiego.

Słowacki w ostatnich słowach, które napisał przed śmiercią w *Raptularzu*, taki wydał sąd o Mickiewiczu: „Mickiewicz reputację porządniejszą człowieka na ofiarę rzuca, bo mu Bóg miłszy, niż reputacja“. Słowa te są całkowicie

wyczerpującym komentarzem do *Przepióreczki*. Przełęcki w jednej krótkiej chwili przeżywa cały dramat. W przedziwnym jasnowidztwie pojmuje nagle, iż cała jego praca oświatowo-regjonalna nie będzie warta, stanie się kłamstwem i szychem, o ile ubocznym jej produktem będzie deptanie tego co jest, było i być powinno podstawą cywilizacji i równowagi społecznej. Nie można zanie deptać rodziny i spokojnego szczęścia zwykłych ludzi. Tak, monogamia, o której ironicznie mówi Czesław Jankowski, jest w danym wypadku troską Żeromskiego.

Romantycy, może nieświadomie, jednak z uporeczywą konsekwencją dążyli do ruiny rodziny i obowiązku społecznego przez wyniesienie do szczytu wartości — miłości (recte: miłości płciowej).

Patron romantyzmu, Rousseau, mówi wręcz, iż każda zawiedziona miłość jest dla ludzkości (!) większym nieszczęściem, niż śmierć Newtona. Dla romantyka jest zwykłą rzeczą podeptać na swej drodze serca dziesięciu kochających kobiet, byle... byle... Niech czytelnik sam w duszy swej dośpiewa. A teraz pomyślmy tylko, jakby cała rzecz wyglądała, gdyby Przełęcki poszedł po linii owych krytyków, nie rozumiejących istotnych intencji Żeromskiego. Oto zbałamuciłby Smugoniową, zrójnowałby rodzinę Smugoniów, przepoiłby własną duszę głębokim niesmakiem i goryczą, którą zawsze zostawia po sobie grzech, zaburzyłby własne sumienie i wzbudził zarówno w sobie, jak i w swych współpracownikach podejrzenie, że praca jego nie była bezinteresowna, że była ona jeno pogonią za wrażeniami,

choćby wrażenia te miały być okupione zaburzeniami w duszach czystych i prostych.

Oto co w jednej chwili pomyślał Przełęcki — i wybrał inną drogę, jedynie zgodną z etyką chrześcijańską. To dziwna, jak dziś potoczna etyka towarzyska daleko odbiegła od nakazów ewangelji. Prawda Chrystusowa: „Nie gorszcie maluczkich. Lepiej by wam uwiązano młyński kamień do szyi, niż gdybyście mieli zgorszyć jednego z maluczkich“, — te słowa Chrystusa są oczywiście jasną wytyczną postępowania Przełęckiego.

I otóż on reputację porządnego człowieka na ofiarę rzucea, bo mu Bóg miłszy niż reputacja. Nie zrozumiano jego przedziwne prostej taktyki, odwrócili się odeń koledzy i Smugoniowa (o co mu właśnie chodziło), odtrącili go też, owi niektórzy wspomniani wyżej krytycy. Pojęli go jednak Smułoń i — Księżniczka. Ostatnie jej słowa wyraźnie o tem świadczą. Sprawa, o którą chodziło Przełęckiemu, żyć nie przestała, owszem żyć będzie jeszcze intensywniej, bo zasilona ofiarą Przełęckiego. Moralne wartości każdego czynu są najistotniejszą jego częścią.

Mysłtedy Żeromskiego jest jasna i niedwuznacznie oczywista: fałszem jest t. zw. praca społeczna, jeśli jej owocem ubocznym jest ruina podstaw życia społecznego.

Tak to widzimy, jak w społeczeństwie naszym zatracą się zmysł pojmowania rzeczy najprostszych, jak literatura (w jej najgorszym znaczeniu) przesłania przed niektórymi oczyma same życie z jego prostą, może surową, lecz jedynie obowiązującą etyką.

Stanisław Cywiński.

Dramat gazdy w Zakopanem.

— Niby to nie było onegdaj: zwyczajnie między somsiadamy; a ta, widzisz ja, pomstuje jus tseci dzień. Taka ci honurna jest!

To, to gazdzina!

No, beło: psysed jo, psysed mój brat Józek, psysed Kuba Kruk, Maciek Cerpak i Jaśko Synuś. No, to i gdzieby tam na sucho gadać! Jesceć po wyjeździe Prezydenta Samego, cośmy mu to banderyje wiedli i na pożegnanie na stacji kolei pošli kupą całą. A no, jeden, drugi kufel, sklanka, i ja pedam Kubie, co jego kuń strychuje. A on mi na to:

— Kajs widziol?

A jo mu na to:

— A w banderyi chto az w kuniec musiał ostać się, ze az sam prezydent widziol, nietylko jo, iz kuń z felerem je.

A on na to butelką o ziem, i peda:

— Niech cię wsycy djabli wezma!

A jo na to juz nie zdzierzał, ino drugą butelką w niego! A on kuflem we mnie, i popadł w samą gębę. Polala się krew i ze mnie i z niego, bom go tyz popadł, zwyczajnie jak między somsiadamy. A jo, bom jesce chycił największy kufel i bęc! w kogoś co wehodził, bo mi się uwi-

działo iz to Kubie swogier je, ten od wojacki, i ze mu się na głowie capa żołnierska, jak ten smerek w halnym wichse, chwieje.

Tedy powstał trochę harmider: chycił ktoś me, chycił jensy Kubę, Jaśka, jedni drugich...

Całe scenście, ze kufel nie popadł w capę ani w gębę tego co wsed, ino w piec!

A bo to beł, bies go tam mógł wiedzieć, sam komisarz policyi. On to syćko wywacha, juha jeden! Tseba mu to beło nase somsiadzkie gadanie podsłuchać. A co komu do tego, co jeden drugiemu z delikatnościom pspowie! Ha? Ze na ulicy słyhać, to co?

A zeby i beło trochę sumu w nasych głowach od tam butelki jednej—drugiej, to w nasych własnych, nie w cyich. Za swoje grose, nie za cudze! Jo w sejmie mogę być poseł. Ha? Tera wolność je — no nie?

A ten psiokrew zwęsył na ulicy, zara zgwidłał tsech drabów, co me i Kubę i Jaśka i tych drugich, gazdów nad gazdami, którym sam Prezydent na stacji podał rękę, ze az cała kolej widziola, nas, bogacy, co moma po dwadzieścia mórg ziemi i łąki, nas za kołniz od cuchy, od serdaka te draby chyciły! I powiodły nos

do kancelaryi i zapisały, psiokrwie jedne! I nos, co bedziemy, jak Józka brat, jak swogier Kruka, swego casu wybrani tyz do sejmu, aby syćkim pod nos kiwać, nos, cośmy banderyję własną lo Prezydenta psywiedli, nos — zamkli na całą noc do jakiegoś kreminalu.

No, i wrócił jo nazajuts do dom.

Obmył się po drodze w strumieniu, ze tylko jedna plama ode krwi zaschłej była nad wąsiskami, a jedna pod okiem, a jedna na nosie, malutka, ze nima o cym godać, bo nikt ji nie dopatsy.

I cała ta sprawa, to nic! Plunięcia nie warta, zeby nie baba. Hale! taka baba jak ta!

Tamta, druga, com to jo pozucił, co była zwionzana i pokropiona razem ze mnon w Kościele Świętym, tamta, znacy się prawdziwa moja, toby i nie uwidziała nicego, abo i lękała się patseć. Chyciłaby sobie rozaniec, i pochlipując nosem, posła sobie po kątach gospodarzkich, sepcąc pacize a swego dogładając — niby nic!

Taka juz ona była, wedle cichości i Pana Boga, cierpiętliwa jakaś.

Widno na charakterze chorowita, i takiej juz jakiejś chudej dusy. Bo w ciele, gdym ją brał, to obfita była i ozdobna, nima co rzec, bo juz jo inneby i nie wzioł! Ale potem, to jak ta swica na wietse zaceła chudnąć, sechnąć i cerwoność jej z gemby gdzies uciekła, i taka była ze i co wziąć gospodarskom rękom nima!

A cicha była taka, ze cłowik wrócił do dom, i nic nie wi, ze mo babę własną, gaździnę swoją, i syćko jak należy. Nie wi: bo zrobis jej tak, zrobis ni, jej syćko dobrze po wirzchu. We wnątsu, to moze się jej tam co i kręciło — bo casem nosem pociągnie, ale nic nigdy nie powi mocnego, nic, jakby nie u siebie gaździna i pani była na całym obejściu.

Tom ją tak bez długość casu obzydził — i zucił.

A bo zrobiła się coraz chudsa i nijaka!

Książd probosc to pomstowali na me, zem to tę drugą wziął lewom rękem! Hale!

A gadziny čtyry stuki, a drobnych kurów i gęsi, a swinioków co im grule stare nieść tsa codzień, a dwa dzieciska co ksycą pod piecem, to kto ma opatseć?

I gazdzie bez swojej własnej baby w domu, nie psystojnie beć, bo mu się należy wedle syćkiego. Pom Bóg to wiedzom, bo to największy gazda na niebie i ziemi to i darujom naprawianie pomyłki i zmianę, jak juz psyjdzi do obrachunku. Ale książd probosc — to ksyw.

A tamtej to się nie złego nie dzieje: una se posła do miasta i tam zarabia. Tego tseciego dzieciska, tom jej nie bronil wziąć. Niech se ma odemnie.

Złego to tam nie jej się nie dzieje: kucharkuje, i prać moze i niech ta innym usługuje na wyzywienie swoje i dziecka, kiej nie umiała upilnować honoru gaździny a mężowi była jak ten flak, co go połknies z którego końca fces, jak ta tasiemka, co jon uwiązes gdzie fces, i do kierpcia, i do portek, i do guńki.

No??!

A ta druga, tyz w sobie wedle okrągłości w ciele, nicego. Ale obaccie jaka honurna, jaka

gaździna. Oho! Tseci dzień, ani podejść do niej, taka pyskata.

Psyesd jo nazajuts od tych psiokrwii z hareštu, i cicho wziął kosę aby trawę rznąć. A baba jak się to zuci na mnie, aze jej z ocu jak ogniem sypie. Ty, peda, harestancie jeden, ty pijoku, nocniku, ty obigębo, i końca nima od tych jej słów, taka mocna.

Ja do niej z delikatnościom, zakrywając tę plamę koło wąsisków, obiecuje kupić jej i korale, i drugiego swinioka, i jedwabny gorset, jak mnie wybioro do sejmu.

A ona jak podskocy, jak tsaśnie po mojej gębie, to az me w oczach swice, ja na Gromnięną, stanęły.

— Prec bestyjo! — ksycy na tsy morgi dalikości. — Taki tamten twój syjm, co ciebie wybiezy, pijoka i kreminalnika. Styd mi robis! Nie fce jo żyć z takim!

I juz me zaceło robić się miętko kele syrca, bo kobita niektóra to i umie trafić do dusy. I sumienie we wnątsu jęło walić me w syrce jak ciupaga, bez to jej trafianie...

A ona podeas chyci drewniany cerpak — i we mnie! chyci litr blasany — i we mnie! chyci gornek gliniany — i we mnie!

Ni w jaką stronę się uchylić. Dzewo, metal, glina, syćko dobre co jej pod ręką. Statki latajom po kątach i widzę jo, jak ona oburąc chyta kociołek, i ksycy!

Tak juz jo nie cekol dalej, tylko zucił kosę ze az zajęcało po izbie, i do dzwi, do obórki, i na strych!

A drabinę tom za sobą i wciągnął!

No, i zrobiło się cicho.

Tylko... nitem zasnoł, to me się rozkleiło syrce. Nie lotego, ze jescce niepewne, cy me wpo-kujo do tego syjmu, zebym sobie łaki psykupił; nie lotego, co sam Prezydent widziol iz kuń góralski w banderyi strychuje; nie lotego, ze bez ten kufel sam komisarz na mnie jakiś ksyw. A ino — lotego, ze ta pirsas nie była tom drugom, alibo i lotego, ze ta druga nie jest tom pirsom.

A bo wtedy bełby syt i hunor gaździny, i miłowanie cłowiece, i cichość sumienia, no, i sam probosc! Bo wtedy bełoby syćko to, co tseba wedle zony, gaździny i baby własnej.

A bez cego — nijak!

Ot co!

Ludwika Życka.

Zakopane, 1925 r., lipiec.

Dom mojego ojca.

Na pagórku niewielkim, jak pisze Mickiewicz, lecz nie nad brzegiem ruczaju, a ponad niskimi łakami, pokrytymi przesłiezną, soczystą zielenią traw, stał przed laty dawnymi dom mojego ojca.

Z okien jego, a zwłaszcza z tych na ukochanej salce mojej, wysoko na poddaszu umieszczonej, widać było, jak na dłoni, śliczne, otoczone wierzbami jezioro „Staw Paraski“, tak zwany od imienia dziewczyny, która z jakiegoś smutku, którego powodu nigdy dowiedzieć się nie mogłam — rzuciła się w głąb jeziora i tam

utonęła. Opowiadały stare kobiety, że w jasne majowe wieczory, gdy księżyc wielkie swe koło zataczał ponad głębiami wód, a słowiki, których niezliczona moc żyła w tamtych stronach, dzwoniły przez całą noc, nieszczęsna topielica wychodzi z jeziora, łamie ręce i chodząc wśród eicho szeleszczących wierzb, płacze i wyrzeka. Ale jam jej nigdy nie widziała, choć bardzo pragnęłam ujrzeć taką dziewczynę, co z wody wychodzi. Cóż, kiedy ona wychodziła o północy, a mnie już przedtem dawno do łóżka wysłano.

Z drugiego okna salki, tego, co na wschód wychodziło, widniało drugie jezioro: Smerżew. Większe znacznie od tamtego, długie na cały kilometr, tem piękne, że woda jego była jasna, przejrzysta, a brzeg śliczny, piaszczysty, można się było w żółtym, czystym piasku zakopać. Nad brzegiem Smerżewa rosły trzy ogromne dęby, takie duże, że ich objąć trzech ludzi nie mogło. Oprócz nich nie było żadnego innego drzewa w pobliżu, żadnych krzewów, ani łóz, ani rokity, tylko wyżej nieco, na nieurodzajnej ziemi kwitły całemi kępami wonne i lekkie jak puchy kwiaty, zwane tam ogólnie białymi gwoździkami.

Lubiłam bardzo Paraski staw, kochałam stary Smerżew, ale ponad wszystkie wody, otaczające dom mojego ojca, najmilszą mi była piękna Prypeć, której już z okien salki dojrzeć nie mogłam, bo łożysko jej było nieco dalej i drzewo i krzaki ją zakrywały, ale zato wiosną ona przychodziła do nas w gościnę. Jak tylko śniegi stopniały i mróz zelżył, że już się kotki na wierzbach pokazały Prypeć, szeroko wody swe rozlewała, zatapiając łąki i pola okoliczne. I jeziora wszystkie łączyły się ze sobą, że nie było nie już widać tylko wielką, dużą wodę z szumem pędzącą przed siebie. Pokrywała ona wszystkie krzewy i wierzy, nawet starych dębów śladu nie było.

O jakże ślicznie i miło było wówczas. Na małych łódeczkach, pływaliśmy wszędzie nawet do młyna i obory i na folwark, bo tylko dom, oficyna, stary lamus i stajnia, stały na wzgórzu, na które woda nie wchodziła. Wesóło też było jak nigdy, zwłaszcza wieczorami, gdy nawoływały kaczkę, kurki wodne, klekotały na gniazdach bociany, gwizdały słonki, darty się derkacze i jazgotało na przemiany wszelkie ptactwo wodne i błotne. Po wodzie mknęły jedna za drugą „duszehubki“ poleskie, wąskie i płytkie łódeczki, fale je nieraz wysoko podnosiły, potem spychały ze swego grzbietu, zakręcały młynka na wodzie, ale umiejętna dłoń poleszuka zwycięsko wychodziła z tych opresji.

Dom mego ojca był taki jak w Soplicowie „niewielki“ zdaleka świeciły jego pobielane ściany, ganek był oparty na czterech dużych słupach. Na ganku stały ławeczki i tam w wiosenne i letnie wieczory, siadywał ojciec, przychodzili do niego „sąsiedzi“ jak ich zwał za zwyczaj, Michał rudy, którego trochę się bałam bo mi zbójcę z „Powrotu Taty“ przypominał, Kornij kulawy, stary Siergiej, mój wielki przyjaciel, bo mię zawsze do swej „duszehubki“ zabierał i woził po wodach dalekich, Maksym furman, tak zwany, bo kiedyś był u nas fur-

manem i wielu wielu innych. Znałem ich wszystkich i oni mnie również, a zwali mnie „naszą“. Gdy rozmawiali z ojcem, siadywałam zawsze za dużym słupem i niewidzialna przez nikogo słuchałam i przyglądałam się im wszystkim. W zimie było inaczej, ojciec wieczorami siadał przy swem biurku i pisał lub czytał, czasem przyjeżdżali do niego jacyś obcy panowie, przychodził stryj, rozmawiano głośno i opowiadano takie ciekawe rzeczy. A ogień palił się i trzaskał na kominie, a ja zasunięta, lub skulona w kłębek w dużym, obitym czarną skórą fotelu, słuchałam z zapartym oddechem o walkach, bitwach, które niezbyt dawno odbywały się na naszej ziemi, o więźniach i wygnańcach. Czasem takie straszne rzeczy mówiono, że mnie serce w piersiach kołatało, siedziałam jednak cichutko, obawiając się jednego, by mię nie dostrzeżono i nie kazano iść do swego pokoju. Nie rzadko też usnęłam słuchając tych opowieści i śpiącą ojciec odnosił do łóżka.

Przychodzili też do ojca w zimowe wieczory i tamci sąsiedzi: „Do panoczka, mówili przisli po radu“, i radzili się, biedowali, opowiadali swe troski i kłopoty. A kto był chory, to panoczka prosił o leki, a kto umierał, to wołał, żeby do niego „panoczek“ przyszedł, bo lżej będzie umierać.

I tak w domu ojca mego, wśród tych cichych, bielonych ścian, przewijali się to jedni goście to drudzy, a każdy tu szedł po radę, każdy tu spotykał się z przyjacielską, życzliwą pomocą.

W starych ścianach domu ojca, tak często mówiono o przyszłej wolności, modlono się o nią i wierzono w nią. Ale gdy nadszedł wielki dzień, już ojca nie było na świecie, a stary dom, Prypeć i kochane jezioro zostały odcięte i oddane obcym i nie wiem czy szumią tam jeszcze stare lipy i wierzy, czy szeleszczą w wiosenne wieczory swem srebrnem listowiem, czy dzwonią słowiki w noce majowe, a dusze tych, co leżą na cichym cmentarzu, czy nie łkają jak ongi Paraska w te noce jasne... *M. R.*

Kłosy i osty.

Na jakimkolwiek bądź stanowisku czyń bez przerwy dobrze w przeciągu życia całego — w najlepszym razie ludzie ci to przyznają i bardzo prędko przejdą nad tobą i twoją działalnością do porządku dziennego. Jeżeliś popełnił choć jeden błąd, niezapomną ci go i nie darują nigdy i jeszcze w nekrologach wypomną.

* * *

Herostrata imię zna świat cały — kto był budowniczym świątyni w Efezie — nikt nie pamięta.

* * *

Można uszlachetnić dziewczkę, lecz nie urodzi oliwek winna macica, ani doczekasz gruszek na wierzbie.

J. O.